



Porwanie Mony Lizy

2019-09-26

O Aronie Gajerze, „kupcu starożytnościowym” z ul. Szpitalnej pisano już dużo i z reguły bardzo pochlebnie. Rzeczywiście była to postać naprawdę niezwykła. Z pozoru zwykły handlarz „starzyzną”, czyli używaną odzieżą, ale jednocześnie kandydat do wiedeńskiego parlamentu. Co prawda start w wyborach nie był zbyt udany, gdyż na pana Arona zagłosowało tylko 44 krakowskich wyborców, jednak nazwisko Gajer zostało bardzo nagłośnione.

Michał Koziół

O panu Aronie śpiewano w kabarecie „Zielony Balonik”, ale bywał też goszczony i w krakowskim areszcie „Pod Telegrafem”, i ołomunieckim kryminale. Owe kłopoty z władzą sądowniczą wynikały prawdopodobnie wyłącznie z łatwowierności pana Arona. Po prostu miał takiego pecha, że często rzecz, którą kupił – a były one różne, od przenoszonych spodni po amerykański czek – okazywała się „rzeczą pochodzącą z kradzieży”.

Na tropie Mony Lizy

Dwa razy działalność pana Gajera miała wymiar wprost międzynarodowy. Jedno zdarzenie dotyczyło wspomnianych już amerykańskich czeków skradzionych w Nowym Jorku, które w tajemniczy sposób trafiły do Krakowa. Drugie wiązało się z kradzieżą „Mony Lisy”, czyli najśłynniejszego obrazu świata. Namalowana przez Leonarda da Vinci „Gioconda” zniknęła z Luwru w sierpniu 1911 r. Oczywiście paryska policja rozpoczęła bardzo intensywne śledztwo, jednak jedyny jej sukces to aresztowanie niewinnego człowieka.

Prawie w miesiąc po zniknięciu obrazu „Gioconda” pojawiła się w Krakowie. Doniósł o tym „Ilustrowany Kurjer Codzienny”. W numerze z 19 września ukazała się obszerna notatka zatytułowana „Na tropie Mony Lizy. Ślad Giocondy w Krakowie. Sensacyjny zbieg okoliczności”. Jak przystało na popularną, pragnącą zdobyć nowych czytelników gazetę, „Kurjer” już pierwszymi zdaniem tekstu przykuwał uwagę czytelników. Brzmiały one: „Jesteśmy w przededniu niebywałego rozgłosu Krakowa jako miasta, które wróci Francji jej milionowy skarb”. Dalej autor notatki pisał, że na krakowskim dworcu kolejowym spotkało się ostatniej nocy dwóch ludzi. Jednym z nich miał być młody, elegancko ubrany mężczyzna, który tylko na chwilę opuścił wagon pierwszej klasy przejeżdżającego przez Kraków pociągu dalekobieżnego. Ów tajemniczy pasażer niósł zagadkowy pakunek, „który nie mógł być ani torbą, ani kuferkiem – ani pudłem na kapelusze – ani futerałem na lefoszówkę – parasole lub laski. Pakunek płaski jak maglownica lub rejsbret”. Współczesnym krakowianom należy się wyjaśnienie, że lefoszówka to pewien rodzaj dubeltówki, strzelby myśliwskiej, rejsbret zaś to po prostu deska kreślarska, przedmiot w epoce komputerów już prawie zupełnie zapomniany.

Drugim uczestnikiem owego nocnego spotkania miał być pan Aron Gajer. Nota bene „Kurjer” pisząc o tym wydarzeniu, posługiwał się tylko pierwszą literą nazwiska „kupca starożytnościowego”. Owi dwaj panowie nie spotkali się na krakowskim dworcu przypadkowo. Pan Gajer został bowiem zawiadomiony telegramem, w którym zaproponowano mu korzystny interes, jakim miało być spieniężenie owego tajemniczego, płaskiego przedmiotu.

Leonardo, Leonardo!



Pociąg powiózł nieznanego dostawcę pakunku w dalekie strony, a „kupiec starożytnościowy” pozostał z dylematem, co dalej robić. Jako człowiek rozsądny postanowił następnego dnia zasięgnąć opinii pewnego znawcy. Autor zamieszczonej w „Kuryerze” notatki pominął taktownie nazwisko owego znawcy, za to z dużą dozą złośliwości opisał jego reakcję na widok zawartości tajemniczego płaskiego pakunku. Otóż miał on rzekomo wykrzyknąć: „Leonardo, Leonardo – to ona – ona – ten uśmiech – te białe ręce – jak z gipsu odlane – te kłaczki – ten pejzażyk – Panie G. jesteś milionerem – do Luvru!”. Jednak na opinii jednego eksperta nie można polegać. Znawcy, nawet najbardziej wybitni, mogą się przecież mylić.

Relacje, zamieszczane w kolejnych numerach „Kuryera” są tak niezwykle, że budzą podejrzenia co do swojej wiarygodności. Czytając je, można odnieść wrażenie, iż to sami redaktorzy dobrze bawili się, prokurując kolejną sensacyjną wiadomość. Czytamy więc, że na zaproszenie Arona Gajera przybyli na Kazimierz eksperci. Prezentacja rzekomego lub też prawdziwego – kwestia ta nadal nie była do końca wyjaśniona – dzieła Leonarda da Vinci miała się odbyć na podwórzu „zawalonem, śmieciami, przegnitami resztkami jarzyn, drzewa, podrutowanego niemi pajęczyny, rumowiskiem rozwalonego komina”. Oczywiście na krakowskim Kazimierzu mogły rzeczywiście istnieć takie podwórka. Jednak kamienica numer 7 przy ul. Gazowej, w której mieszkał wraz z rodziną Aron Gajer, z pewnością nie należała do najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych w tej okolicy. Przede wszystkim był to budynek nowy, niemający za sobą kilkusetletnich dziejów i był własnością, jak wiele nieruchomości przy tej ulicy, gminy miasta Krakowa.

Kopia czy oryginał?

Wątpliwości w kwestii wiarygodności informacji podawanych przez „Ilustrowany Kuryer Codzienny” zdecydowanie wzrosną, gdy dowiemy się, jakich to ekspertów miał rzekomo zaprosić na owo podwórko pan Aron Gajer. Otóż byli to podobno: „Radca budownictwa, architekt Jan Zawiejski, dr Klemens Bąkowski, niezrównany znawca starego Krakowa i Ludwik Solski, dyrektor teatru miejskiego”. Tak więc na kazimierskim podwórku zjawiała się – jeżeli wierzyć „Kuryerowi” – bardzo oryginalna trójka. Opis stoczony przez „znawców” dyskusji jest tak ciekawym przykładem ówczesnej dziennikarskiej manieri, że warto zacytować go w całości: „W niemym podziwieniu otoczyli Gajera, trzymającego w rękach poszukiwane w całej Europie arcydzieło. – Kopia, czy oryginał? ... Trudno osądzić ... Jeżeli jednak kopia, to znakomita... Niech Kraków chociaż tę kopię posiada, jeżeli oryginału mieć nie może!... Kopia, czy oryginał. Otóż rozwiązujemy tę zagadkę... Tak jest! Kopia, pochodząca z pracowni znanego nam wszystkim artysty-dekoratora p. Wierciaka!”.

Redakcja „Kuryera” posunęła się tak daleko, że w niedzielnym – a więc najbardziej poczytnym – numerze z 24 września 1911 r. zamieściła rysunek przedstawiający scenę prezentacji znawcom owej rzekomej „Giocondy”. Widzimy na nim pana Gajera z obrazem w dłoni oraz czterech panów z wielkim zafrapowaniem oglądających mniej lub bardziej prawdziwe dzieło mistrza Leonarda. Jeden spośród tej czwórki nawet ma na głowie cylinder, prestiżowe nakrycie głowy chętnie noszone przez mecenasa Bąkowskiego. Tłem dla tej sceny jest oczywiście owo zaniedbane, tak barwnie i ciekawie opisane kazimierskie podwórko. Według redakcji „Kuryera” ilustracja ta zasługiwała na pełne zaufanie czytelników, gdyż była „reprodukcją zdjęcia fotograficznego, jakie udało się współpracownikowi naszemu – na miejscu historycznego wypadku żywcem uchwycić”. Notatka kończyła się refleksją: „Biedny Gajer – a on myślał, śnił o



**Magiczny
Kraków**

sławie posiadania arcydzieła, nosił się z nadziejami bajecznych zysków, a tu ... kopia!”.

Nie ma żadnych wiadomości o tym, jak na prasowe publikacje zareagowali bohaterowie opisanych przez „Kuryer” wydarzeń. Przecież wszyscy z panem Aronem Gajem na czele mieli pełne podstawy do wytoczenia procesu redakcji dziennika. Być może sami dobrze się bawili, czytając kolejne numery „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”. Wszyscy przecież byli ludźmi inteligentnymi i niewątpliwie obdarzonymi poczuciem humoru.